

## POGAWĘDKA

z Krzysztofem Kacprowskim, który w ramach akcji „Szpic na szczyt” zdobył Kilimandżaro



### – JAK to się wszystko zaczęło?

– To było jeszcze w ogólniaku. Pewnego dnia przyszedł do nas na lekcję Henryk Siegert, prezes Fundacji przeciwko Leukemii i namawiał nas do zarejestrowania się jako potencjalni dawcy szpiku kostnego. Byliśmy zadowoleni, że lekcja minęła. Kilka dni później była klasówka z matematyki. Nie miałem zbytnej ochoty jej pisać i razem z kolegami wyszliśmy ze szkoły. Zastanawialiśmy się, jak usprawiedliwić nieobecność na sprawdzianie i jeden z kolegów powiedział, że na drugim końcu miasta jest prowadzona rejestracja potencjalnych dawców szpiku. Pojechaliśmy tam, żeby dostać usprawiedliwienie, a rejestracja to przecież tylko formalność. Kilka lat później zadzwonił telefon z informacją, że mogę być dawcą. Zgodziłem się. Po wielu badaniach oddałem szpik. Nic nie bolało, nic nie straciłem, nie mam żadnego uszczerbku na zdrowiu, a komuś pomogłem. Gdyby nie doroczne zjazdy dawców szpiku, pewnie bym o tym zapomniał, bo dla mnie to było coś normalnego. Na ostatnim zjeździe dowiedziałem się o wyprawie „Szpic na szczyt” organizowanej przez Fundację przeciwko Leukemii, czyli o wejściu na Kilimandżaro. Wyprawę przygotowała Ania Czerwińska, himalaistka, zdobywczyni Korony Świata, która też jest dawcą szpiku z naszej fundacji. Zgłosiłem swój akces.

### – Jak długo trwały przygotowania do wyprawy?

– Mieliliśmy taki obóz treningowy na Słowacji. Dostaliśmy w kość, ale się opłaciło. Wejście na Kilimandżaro to nie spacer, ale słowacki trening nas dobrze przygotował.

### – No i wyprawa. Co pan myślał, patrząc na szczyt Kilimandżaro?

– Z dołu Kilimandżaro nie wygląda groźnie. Przyznam, że stwierdziłem, iż zdobycie go nie będzie trudne. Respektu do góry nabrałem drugiego dnia wyprawy, gdy ponownie spojrzałem na szczyt. Wydawało mi się, że nie posunęliśmy się ani trochę, a przecież już dwa dni

wchodziliśmy. Respekt był duży, bo dopadło mnie zapalenie krtani i ta dolegliwość też dawała mi się we znaki. Drugiego dnia również wszyscy poczuliśmy ciężar naszych plecaków, w których były tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Dobrze, że zasadniczy ładunek nieśli tanzańscy tragarze. Cokolwiekby mówić, z każdym krokiem było trudniej. Kilimandżaro to nie zwykły pagórek, to 5800 m nad poziomem morza.

### – Jak wyglądał atak na szczyt?

– Przed atakiem mieliśmy kilkugodzinny odpoczynek. Niewiele z niego skorzystałem, bo bolało mnie gardło. Do ataku ruszyliśmy o północy, a po prawie dziewięciu godzinach morderczej wspinaczki stanęliśmy na szczycie. Wspinaczka na Kilimandżaro to nie pokonywanie pionowych ścian, ale mimo to jest bardzo trudna. Na górze panuje przenikliwie zimno, co zburzyło całe moje przekonanie, że Afryka to bardzo gorący kontynent. Były krótkie przerwy we wchodzeniu, ale wówczas zimno było jeszcze bardziej trudne do zniesienia. Więc wchodziliśmy i wreszcie weszliśmy. Z góry widok był wręcz bajeczny. Byliśmy szczęśliwi, a ja szczególnie, bo w tym dniu obchodziłem swoje trzydzieste urodziny. W plecaku miałem małą butelkę szampa-

na, którą otworzyłem na szczycie. Nie każdy może się pochwalić, że urodzinowy toast wzniósł na szczycie Kilimandżaro. Ja tak!

### – I powrót....

– Powrót był też bardzo trudny. Na szczyt wchodziliśmy w nocy i szliśmy po mocno zmarzniętym gruncie. Schodziliśmy w pełnym słońcu, szliśmy jak po wydmach, bo grunt rozmarzył, wszędzie piaskowy pył, trudno było oddychać. Po dwóch dniach byliśmy u podnóża góry. I tu niespodzianka: ból gardła przeszedł jak ręką odjął.

### – Gdyby ktoś zaproponował panu kolejną wyprawę na szczyt...

– Na dziś mam dość. Może kiedyś...

### – Tą wyprawą chcieliście coś udowodnić?

– Chcieliśmy pokazać, że po oddaniu szpiku żyje się normalnie, że jest to nieszkodliwy zabieg. Uczestnikami wyprawy byli nie tylko dawcy. Byli też biorcy. Oni z kolei udowodnili, że z białaczką można wygrać, a po wyzdrowieniu dzięki przeszczepowi można żyć normalnie.

### – Dziękuję za pogawędkę.

Gawędził i fotografował  
Ryszard BAŃKA